

Tyle frekwencji ile prawdziwej demokracji

10 czerwca 2009

Widzimy wyraźnie, że frekwencja w wyborach do Parlamentu Europejskiego systematycznie spada, a decydenci zastanawiają się i drapią w głowę z udawaną powagą, zadając pytanie – dlaczego tak się dzieje?

Hans-Gert Pöttering, przewodniczący PE, szansę na poprawę sytuacji widzi w zwiększeniu środków finansowych na popularyzację prac parlamentu, czyli na propagandę.

Pies leży jednak pogrzebany gdzie indziej.

Europejczycy zdają się coraz lepiej rozumieć, że biorą udział w teatralnym spektaklu.

Teatr oczywiście, jak zapewniają unijni włodarze, należy do nas wszystkich, podobnie jak w PRL-u, w którym jak wiemy władza oddana była w ręce ludu.

Skoro, więc teatr jest nasz, to logicznym wydaje się, że powinniśmy mieć wpływ na repertuar, obsadę, reżysera, koszt dekoracji. Wtedy zapewne sala nie świeciłaby pustkami.

A na czym polega ten nasz wpływ w rzeczywistości?

Dzisiaj pod szumnymi hasłami współdecydowania oferuje nam się udział w wyborze takich samych widzów jak my, z tym, że usytuowanych bliżej sceny, w wygodnych fotelach i klimatyzowanej łoży.

Tak naprawdę o wszystkim decyduje Komisja Europejska, a parlament jest niczym innym jak sceną, na której odbywa się spektakl markujący demokrację.

Polska jest zawsze we frekwencyjnym ogonie jeszcze z innego

powodu. U nas pod szumną nazwą „wybory” odbywają się od dwudziestu lat zwykłe głosowania.

My przecież nikogo nie wybieramy tylko głosujemy na listy.

Można jeszcze zrozumieć taki sposób wyboru w dniu 4 czerwca 1989 roku. Wtedy media były opanowane przez komunistów i należało głosować zdyscyplinowanie na „Drużynę Lecha Wałęsy”. Ci ówczesni kandydaci Komitetów Obywatelskich to pierwowzory dzisiejszych „jedynek” na listach.

Ówczesny sukces tak zapadł w pamięci naszym rodzimym decydom, że z upodobaniem do dnia dzisiejszego akceptują brak jest jakiegokolwiek zdrowej konkurencji między kandydatami z tej samej listy, a kiedy się takowa pojawia, jest tępiona przez tych, którzy owe listy tworzą.

Brak ordynacji większościowej powoduje, więc takie paradoksalne sytuacje, z jakimi mamy do czynienia od lat.

Na przykład w wyborach do PE może dochodzić i niestety dochodzi do kuriozalnych sytuacji.

Może się zdarzyć na przykład tak, że kandydat w moim okręgu otrzyma 50 000 głosów, lecz z uwagi na zbyt niską frekwencję nie otrzyma mandatu ani on ani nikt inny z mojego terenu.

Za to tam, gdzie frekwencja dopisała nieco lepiej, dzięki tak zwanym „lokomotywowom” ,do parlamentu dostaje się ktoś trzeci z listy, kto otrzymał zaledwie 500 głosów.

Dodając do tego tak zwanych spadochroniarzy, niezwiązanych z okręgiem, w którym kandydują mamy dopełnienie całej tej patologii.

Idę o zakład, że w momencie, kiedy zaczniemy na prawdę wybierać w wyborach, a nie tylko głosować w głosowaniach, poprawi się nie tylko, jakość polityki i polityków, ale też frekwencja, na której podobno tak wielu, tak bardzo zależy.

Ja oczywiście w ten płacz nad niską frekwencją nie wierzę.
Cóż, jak teatr to teatr.

Autor: kokos26

Źródło: [Niepoprawni](#)